

GONIMET

TEATRALNY

PISMO ILLUSTROWANE POŚWIĘCONE TEATROWI, SZTUKOM PIĘKNYM I SPORTOWI.

WYCHODZI RAZ NA TYDZIEŃ.

Warszawa, dnia 17 (29) Marca 1877 r.

№ 13.



Fotodruk J. Dutkiewicza.

Stanisław hr. Tarnowski.

STANISŁAW HR. TARNOWSKI.

„Należy on do tych, dla których świetne imię i stanowisko są tylko wskazówkami „Opatrzności, iż im przypada zadanie pracowania dla innych i za innych!”

Listy z Krakowa do „Gaz. Pol.”

Bywają ludzie, wyjątkowo uposażeni od natury i społeczeństwa, którym wystarcza chcieć, aby mogli—zaprzęgnąć, aby się spełniło; jeżeli tacy ludzie wchodzą w świat z dobrą chęcią i z pragnieniem wyższych celów, wnoszą ze sobą pożytek dla kraju, w którym się urodzili i dla społeczeństwa, wśród którego się wychowali, zadawając przysięgę swoje najszlachetniejsze popędy.

Jednym z tych nielicznych a szczęśliwych wyjątków jest właśnie Dr. prof. hr. Stanisław Tarnowski, b. poseł na Sejm krajowy w Galicyi i współpracownik Akademii Umiejętności etc. etc. Nie skracamy tu umyślnie tego ogona tytułów komety, który niedawno po raz drugi zabłysnął na horyzoncie warszawskim, bo każdy z nich z osobna jest promieniem nadającym blasku osobistości tak niezwykłego talentu i stanowiska, jaką jest niezaprzeczenie hr. Tarnowski.

Wzorowo ukończywszy studia w Krakowie i Wiedniu, zwiedziwszy w młodych latach Hiszpanję, Francję, Włochy i Ziemię św., z głową pełną wiadomości, sercem pełnym wrażeń, za powrotem do kraju uczuł prawdziwą potrzebę przyjęcia na siebie jakich ważniejszych obowiązków, nie chcąc korzystać ze swobód tej uprzywilejowanej klasy społeczeństwa, która świetne pochodzenie i majątek uważa sobie za patent na wygodne *dolce farniente*.

Przypisywanie pod tym względem zasługi hr. Tarnowskiemu, mogłoby być poniekąd słusznie uważane za dowód naszego zacofania jeszcze, w skutek którego dziwny się w niektórych razach, z niezwykłym uznaniem faktowi podjęcia się i spełniania obowiązków społecznych i obywatelskich, jak gdyby od nich cokolwiek bądź prawego i rozsądnego człowieka uwalniać kiedy mogło.

W r. 1866 hr. Tarnowski utworzył sobie podstawę na której budować począł swoją sławę literacką i rozgłos, autorski, zakładając wspólnie z kilku innymi wyznawcami jednych zasad i przekonań—pismo, któremu za cel stawiano wpływ i powagę takiego „Revue de deux Mondes”—a za środek, pracę uczciwą i gruntowną z programem jasnym i wyraźnym, chociaż niezupełnie w kraju popularnym. Piękne nadzieje i usiłowania z biegiem lat i wypadków spełzły na niczem, jak się do tego najgłówniejszy z promotorów „Przeglądu polskiego” przyznał sam w artykule p. t. „Po dziesięciu latach.” Jednakowoż o ile pismo nie mogło się wznieść w społeczeństwie galicyjskiem—mniejsza o to, dla jakich właściwie powodów,—o tyle założyciele jego, a szczególnie hr. Tarnowski—w ciągu jego istnienia, postępowali coraz wyżej wychylając się ponad zwykły poziom prowincjonalnych wielkości, których niegdyś Galicya była prawdziwym rozchodnikiem.

„Przegląd” długi czas dla młodego, nowo zaciętego autora z koroną hrabiowską na literackiej tarczy—był szansem, z poza którego tenże zdobywał sobie opinię, robiąc śmiało a zawsze rozgłośnie wycieczki, najczęściej tryumfem nagradzane. Bywały i nieszczęśliwe wyprawy w czapce Stańczyka, ale dzwonki jęły były tak dla pisma, jak i dla jego autorów prawdziwymi dzwonami rozgłosu, choć dzwoniły na długotrwałą burzę i wydzwoniły aż stronnictwo polityczne nazwane przez przeciwną partję: Stańczykowskiem. Jednak nie chodzi nam tutaj o polityczne i społeczne wyniki działalności hr. Tarnowskiego; nad temi niech się kto inny obszerniej i głębiej zastanawia—wspomnieliśmy o „Przeglądzie” z konieczności, bo jego uważać właściwie musimy za arenę pierwszych literackich występów hr. Tarnowskiego; a że każdy „panem na swoim podwórku”, więc też i te pierwsze występy właściciela pisma w swoim własnym organie odznaczały się niezwy-

czajną śmiałością i odwagą cywilną, która zresztą jest nader chwalebnym rysem jego charakteru.

Głębokie poczucie obowiązku nie zadowolilo się rozgłosem publicysty i założeniem miesięcznika literackiego, który przy całej swjej poważnej tendencji—nie wystarczał jeszcze na zawód, a był więcej pożytecznym zużytkowaniem czasu tylko i rozrywką umysłową. Zamiłowanie do literatury przyczyniło się do tego, iż w r. 1869, hr. Tarnowski rozpoczął starania w celu uzyskania katedry w Uniwersytecie Jagiellońskim.

Nie przyzwyczajona i nieprzygotowana opinia do takiej z wielu względów niespodzianki—z początku nie mogła pogodzić się z tym faktem i postępek hr. Tarnowskiego uważać chciała nie za czyn obywatelskich przekonań, uczciwych zamiarów, ale za fantazję pańską i próżną ambicyę. Dopiero zdarzenie niezwykłej wagi przekonało ciemnych i zawistnych. Oto dla prostej szykany, czy też zbytniej formalności zażądano doktoratu od przyszłego docenta, który już swemi pracami literackimi zwrócił był uwagę poważniejszej krytyki i ogółu, a których wartość przez dodanie do podpisu autora tych dwóch małych literek: *Dr.* w niczem podnieść się już nie była w stanie. Mimo to ze spokojem i wytrwałością przekroczył hr. Tarnowski ten pierwszy próg rzucony mu pod nogi na dobrowolnie obranej drodze, i świetnym złożeniem żądanego doktoratu dowiódł, ile prawdziwej, nie kłamanej chęci i zamiłowania do pracy dla dobra ogółu żywi w sobie i jaki nadto zasób inteligencji z sobą przynosi.

Odtąd Dr. Stanisław Tarnowski zamienił katedrę uniwersytecką na piedestał swjej dzisiejszej sławy i wielkości, którą w nader krótkim czasie zczarował prawdziwie siłą swego talentu, rzeczywistej nauki i oryginalnością wykładu.

Ktokolwiek choć raz miał sposobność słyszeć hr. Tarnowskiego mówiącego z katedry, ten pojmie co za magnetyczny urok muszą mieć jego wykłady dla umysłów młodzieży, kupiącej się w uniwersytecie najliczniej, około tak sympatycznego profesora; bo też to forma tych wykładów nie pospolita, uderzająca najpierw uwagę słuchacza i porywająca ją od pierwszych zaraz wyrazów w niewolę. Hr. Tarnowski jest mistrzem w frazowaniu myśli; jeżeli którą z nich uzna godniejszą, to już przystroi ją w taką gipiurową tkanę, ubierze świetnymi kolorami, tak udrapuje artystycznie, że nie dodać i niczego ująć tej sukni zewnętrznej nie można.

Czasem myśl drobna, niepokaźna, zwyczajna sobie, uboga w swjej prostocie, dostaje od mówcy taką pyszną wyprawę, że aż lśni bogactwem i przepychem; pod tym względem pan hrabia ma rzeczywistą wspaniałość i jak prawdziwy magnat słowa, bywa często rozrzutnym nie szczerząc swych niewyczerpanych zasobów.

Nadto dystynkcyę i maniery salonowca przenosi on w naturę swego wykładu, pełnego niekępowanej swobody, czasami, ale to bardzo rzadko, ta swoboda staje się wybrykiem, i to tylko w uniesieniu, wtedy Wiktor Hugo „lże jak pies”, lub jakiś organizm ludzki zezwierzęcony brakiem poezji „zdycha jak bydlę.” Ale jak powiadamy, wypadki to bardzo rzadkie i dałyby się na pokurczonych zawiściach palcach porachować; zresztą wszystkie jego wykłady przypominają wonną atmosferę salonu, choćby nawet ich przedmiot nosił na sobie pleśń wieku i pył klasycznej powagi.

Same nawet fizyczne warunki sprzyjająco przyczyniają się do harmonii całości; hr. Tarnowski posiada powierchowność ujmującą, głos równy, donośny, przyjemny, zabarwiony tem dystyngowaniem brzmieniem, które czasami potrafi mimowoli o afektacyę.

Budowa okresów wzorowa, efekta oratorskie zręczne a zawsze w najważniejszym miejscu użyte. Wykrzyknik, znak zapytania i myślnik odgrywają w tém nie małą rolę. Początkowa nieśmiałość wyrażania się pozostawiła dziś jeszcze ślady w formie niby niestanowczego: „ja nie wiem, ale mi się zdaje”—„jeżeli mi wolno sądzić” i t. p. mimo to, hr. Tarnowski wie dobrze, o czém mu sądzić wolno, jak i to, że niepowiedziałby z katedry tego, coby mu się tylko zdawać mogło. Jako prelegent i krytyk nie

przestaje on być człowiekiem dobrze wychowanym i nie chce obcesowością narażać się nikomu, co mu nie przeszkadza wypowiedzieć wszystkiego, gdy trzeba, bez ogródki.

Tyle co do formy wykładów hr. Tarnowskiego. Słuchając go z zamkniętymi oczyma trzeba by sobie koniecznie wyobrazić człowieka wyższej sfery, we fraku, białym krawacie, ze składanym kapeluszem w rękę nawet w tedy, kiedy mówi o Fryczu Modrzewskim, Acernie lub Bohomolcu, a nie koniecznie o Fredrze lub Krasińskim.

Hr. Tarnowski jest dziwnie bogatą organizacją umysłową. Obdarzony olbrzymią pamięcią, która dotychczas dźwigała wszystkie prelekcje publiczne i wykłady akademickie—odznacza się szczególniejszym poczuciem piękna i miary estetycznej obok zbytniej wrażliwości na najdrobniejsze uchybienia, zaś zmysł krytyczny góruje ponad tem wszystkiem rozwinięty ogromną inteligencją i wykształceniem zdobytem niezmordowaną i nieustanną pracą.

W Kalifornii piękna i doskonałości hr. Tarnowski odnajdzie każdą grudkę czyste gołota—każdej najmniejszej żyłki w najgłębszych nawet pokładach dosięgnie. Jeżeli przedmiot jego krytyki zasłuży u niego na pochwałę, można być pewnym, że wypłaci rzetelnie ją do ostatniego obola, ale biada tym—którzy na to nie zasługują.

Wszyscy o tém wiedzą, że hr. Tarnowski jest dobrym katolikiem, ale jako krytyk nie ma jednej chrześcijańskiej cnoty t. j. litości. O ile w życiu potocznym jest pobłażliwym i wyrozumiałym dla wielu słabości ludzkich, choćby go one nawet samego dotknęły, na katedrze zmienia się w nim człowiek dobrego serca w piorunującego Jowisza dla pigmejów naszej literatury; a kiedy ich większą część, jak Marsyasza żywcem ze skóry odziera, roznamiętnia się po tyrańsku i pastwi bez litości. Można by go słusznie nazwać biczem Bożym dla miernych talentów. Tak swego czasu oskalpował publicznie Magnuszewskiego, Garczyńskiego i kilku innych, że aż dla tej bezwzględnej zaciekłości i zamięłowania tematów nadających się do analizy nazwano jego prelekcje złośliwie „prosektoryum poronionych płodów.“

Hr. Tarnowski postawił sobie ideał poezji tak wysoko, stworzył pojęcie talentu i natchnienia poetyckiego tak szczytne, iż według niego jedyny Mickiewicz tej skali dorasta—reszta ledwie mu do kolan dostaje z wyjątkiem Krasińskiego i Słowackiego.

I to właśnie jeden z najgłośniejszych zarzutów stawianych krytyce hr. Tarnowskiego, — nie uznawanie poza jedną wielkością nikogo więcej; *aut Cesar, aut nihil*. Dobrze jeszcze tym, o których zachowuje obojętne, jeśli nie pogardliwe milczenie, ale nieszczęśliwi ci, których bierze pod anatomiczny skalpel i pruć zaczyna ich muszkuły przez zemstę, że nie byli olbrzymami. Niechby zresztą wykazując ich małość nie targał ich na strzępki ostrym sarkazmem. Gdzie tam!... Porwie, poszarpie w drobne kawałeczki i rzuci obojętnie konkludując: „o ile mi sędzić wolno, musiał to być bardzo lichy talent.“

Ten odcień sarkazmu, znakomite w pewnych razach oddający hr. Tarnowskiemu przysługi, czasami potęguje się w namiętność i wtedy gryzie i kąsa; krytyk traci równowagę i często przesadza w naganie stając się nawet niesprawiedliwym dla pewnych wybranych dla swego uprzedzenia ofiar. Hr. Tarnowski zapomina często, że na rzetelnej ważce o tyle jedna szala spadać powinna, o ile druga w górę się podnosi, i że gwichty dla zasług jenuśzów nie powinny być u niego większe od gwichtów dla niższych nieco talentów, albowiem już pismo zabrania używać dwojakięj miary i wagi na publicznym rynku. Umie on jasno i bystro gołem okiem patrzeć na wielkość zalet i przymiotów, dlaczegoż na braki i uchybienia innych patrzy przez mikroskop, i zaraz swoje potężne o horror! wykrzyknąć musi.

Nie można też powiedzieć, aby zupełnie nie miał wówczas słuszności—chroń Boże! hr. Tarnowski jest zanadto prawnym, aby czynił kiedykolwiek bezpodstawne zarzuty, ale... ja nie wiem, ale mi się zdaje, że je często powiększa nie przez złą wolę, lecz przez zbytek prawości.

Można się z hr. Tarnowskim nie zgadzać, kiedy chłopszcze hajdamactwo Goszczyńskiego, kiedy szykanuje „Pieśń

o ziemi naszej,“ kiedy „mu się zdaje, że Magnuszewski jest nędzotą,“ można się z nim jak niektórzy nie zgadzać dla tego, że jest hrabią, albo wreszcie katolikiem i konserwatystą, Stańczykiem, albo arystokratą; można obciążać go wyrzutami za cudze winy, etc. etc. — ale przyznać mu trzeba, że jest niezaprzeczenie jednym z najzdolniejszych krytyków naszych przez wzgląd na wszystkie dodatnie strony jego talentu, że jest znakomitym mówcą, nie mającym może sobie równego w kraju a niewielu poza krajem, że jako pożyteczny członek naszego społeczeństwa pięknym przykładem i pracą swoją zasłużył sobie na zupełne uznanie, że wreszcie jako człowiek i obywatel godzien jest szacunku nawet przeciwnego mu stronnictwa.

A godzien przedewszystkiem dla tego, iż wszystko co czyni i jak czyni, jest tylko wypływem silnych i niezachwianych przekonań i zasad ugruntowanych na prawym charakterze, czém niezaprzeczenie wyżej stoi od wielu wielkości a szczególnie od zaciekłych dawniej przeciwników swoich w Galicyi, którzy—„sami nie wiedzieli dobrze, ale zdawało się im,“ że mieli śpiżowy hart i niezłomne przekonania, lecz chociaż się starali głośno o tem przekonać ogół, do dzisiaj przecież uczynić tego nie potrafili.

Na zakończenie wspomnieć musimy, iż z pomiędzy wszystkich znakomych prelekcji wygłoszonych przez hr. Tarnowskiego publicznie najgłębszym pomysłem, powagą treści, zmysłem krytycznym i estetycznym, ekspresją i formą, odznaczały się cztery ostatnie w Warszawie podziwiane odczyty: „*O początkach poezji romantycznej*.“

ROMANS ADELINY PATTI.

(Dalszy ciąg).

Salvator Patti przedłużał dzieciństwo Adeliny do przesady. Już szesnastoletnia osóbką strojona była jak dziecko; wytrawny bowiem aktor i dobry znawca publiczności uważał okoliczność tę za dobry środek konkurencyi.

Zachodzi w życiu Adeliny fakt ważny.

Pewien kapitalista chciał raz sprowadzić Adelinę, cudowne dziecko, do swego salonu; wszakże ktoś przeszkodził temu, usiłował bowiem nie mniej, nie więcej, jak tylko wykraść Adelinę.

Nie był to jednak cygan żaden który porywa dzieci—dość na tém że w skutek tego wypadku Adelinę przestano uważać jako dziecko, a ojciec zapowiedział debiut „cudownej dziewczycy“ pod imieniem Adeliny.

W tym charakterze wystąpiła w Łucyi z Lamermoru.

Nowy York niezdawał się być w tej chwili stosownym polem do popisu, przeto stary Patti uwiózł skarb swój do Londynu.

* *

*

Jesteśmy w Londynie.

Sezon roku 1860 zapowiadał się szczęśliwie; dawano Lunatyczkę a w niej debiutować miała fenomenalna amerykańska śpiewaczka.

Londyn który niebardzo wierzył reklamie, przygotowany był do ziewania na tém widowisku.

Jedynie zachęcającą rzeczą, był udział tego wieczoru w Lunatyczce Italo Gardoniego, śpiewaka dobrze podżytego, niemniej jednak ujmującej powierzchowności i umiejętnie przedstawiającego swoje zasoby wokalne.

Gardoni rościł sobie nawet pretensję do tytułu ulu-

bieńca publiczności a może i słusznie; ponieważ tego wieczora zapełniły się wszystkie łóża; mówiono tylko o nim, a nie o amerykańskiej szarlatance.

Akt pierwszy się zaczyna.

Patti śpiewa swoją arję wstępną pstrząc ją mnóstwem fiorytur; w pożegnaniu dobywa kilka głębokich tonów i nuci tak rozkoszne „dobranoc“ swojemu Elwinowi iż cała publiczność wybucha jednym oklaskiem.

Zasłona spada. O Gardonim nikt nie mówi; ze wszech stron jedne tylko odzywają się głosy.

— Ach ona! zachwycająca!

— Jak się nazywa Atti czy Patti?

— To cud świata.

— Czarodziejka!

Nagle wszystkie kawiarnie i restauracje przyległe teatrowi wyludniają się, co żyje rzuca się do teatru, płaci podwójną cenę za kontramarki dla wysłuchania wielkiego finału drugiego aktu.

Głos Adeliny coraz bardziej się podoba, przyznają mu świeżość i dźwięk niebywały, brak czucia zwalając na wiek zbyt młody.

Wreszcie rozpoczyna się akt trzeci.

Wszak pamiętacie finalną jego arję:

„Ah non giunge
„Uman pensiero
„Il contento
„Ond' io son' piena!

W niej to dopiero Patti podbiła chłodną angielską publiczność zmuszając ją do entuzjazmu, jakiegoby się włoscy słuchacze niepowstydzili.

Bo też śpiewała tę arję!

I śmiech i łzy, radość dziecinna, wszystko drżało w jej pieśni; słuchacze aż oddech wstrzymywali z podziwu i sceptycy nawet, najtwardsi Zoile wychodząc z teatru mieli na ustach:

„Ah non giunge“

* * *

Tak stała się Patti ulubienicą publiczności angielskiej. Cały Londyn zdawał się o wszystkim zapominać i śpiewał:

„Ah non giunge“

Buduary, kawiarnie, parki pełne były tego finału, śpiewano go, gwizdano, wygrywano na różnych instrumentach z wszelkimi możliwymi modulacjami.

W pieśni tej zdradziła Adelina przyszły rodzaj swego śpiewu, arja ta zdawała się jakby dla niej napisaną.

Jak powiedzieliśmy krytyka i nie krytyka, Londyn arystokratyczny i demokratyczny, wszyscy oddali hold Adelinie, kochać ją poczeli i ubóstwiać... prócz jednej osoby!

Osobą tą była Grisi.

Ta Grisi sławna i całemu światu znana jako jedyna w swoim rodzaju klasyczna śpiewaczka włoska — Grisi która przeżyła współzawodniczki swoje Pastę, Malibrana, Sontag, gwiazda niczym niezachwiana, jedna z najpiękniejszych kobiet w Europie i dziś jeszcze Junonę przypominająca, pałała fatalnym ogniem zazdrości.

Lecz nie współzawodniczkę w śpiewie widziała dumna ta artystka w małej Patti, jeno rywalkę; bo Grisi była żoną przepięknego sławnego tenora Mario, znanego w towarzystwach pod nazwiskiem hrabiego Mario Caudia, który podówczas cały sezon miał śpiewać w Covent-garden z czarującą Adelina.

Z czarnych żarzących się oczów Grisi padały błyskawice wściekłości; dumne jej rysy gniew wykrzywiały i zawiść zmieniała.

Zaraz po debiucie Adeliny na którym znajdował się hr. Mario z żoną, ta zażądała od męża, aby rozwiązał kontrakt z impresariem.

Oto scena małżeńska.

Wracając z teatru, Grisi odprawia w przedpokoju garderobianę, małżonek zdejmując jej mantyllę i spojiera na nią z uśmiechem.

— Nie śmieć się drogi, idzie o rzecz wielkiej wagi, musisz kontrakt rozwiązać.

— Zapominasz o tém *cara*, że wybryki takie opłaca się wielką sumą.

— To ją zapłacimy.

— Ależ duszko słowa zmienić nie mogę, jam szlachcic, a nie żaden fircyk.

— Ach kontrakt, to przecież nie słowo honoru, kawał papieru, wexel spleacony, niema wartości... lecz widzę, że ty szukasz wybiegów.

— Ja szukam tylko zasady.

— Hrabia zgadujesz przyczynę.

— Nie.

— Przyczyną jest to bezwstydne zalotne dziecko, mała Patti, przereklamowany potworek, ja nie chcę byś ty z nią śpiewał, byś ty z nią grał, podczas gdy ja tu zostanę samą, biedną, opuszczoną.

— „Biedną“ nie będziesz Julietto, masz bowiem do rozporządzenia cały majątek który jest tak samo moim jak i twoim; „opuszczoną“ też być niemożesz — troje bowiem córeczek naszych, hrabianek Caudii zarówno przez nas kochanych zostanie ci dla pociechy, gdy ucieknę z tą zalotną dziewczeczką.

Powiedziawszy to tonem łagodnym, żartobliwym, postąpił ku drzwiom. Grisi rzuciła się za nim i objęła go swymi białymi drobnymi rączkami; — z oczu jej padały łzy, poczęła szlochać.

— Daruj mi, ja cię za nadto kocham, przebac, czuję że głos mój traci siłę i wdzięki giną. Równie byłabym strwożoną, gdyby czas i na tobie wyciskał swe piętno, ale ty jesteś mężczyzną, wiecznie pięknym, wiecznie ubóstwianym. Twój głos czaruje teraz, jak dziesięć lat temu i jak czarować będzie za lat tyleż.

Mario pocałował ją lekko w czoło i rzekł:

— Bądź spokojną, ponieważ sobie tego życzysz, zerwę kontrakt.

— O nie czyn tego, przyznaję się do winy, nie żądam już tego; przecież Patti to jeszcze nie słońce; czyżby mała biedna dziewczyna, z równie małym talentem, mogła być groźną dla mnie? dla Grisi? O! nie. Patrz jestem już spokojną, śmieję się... wszak się śmieję...

A z oczu jej padały ciągle łzy.

* * *

Nazajutrz miano próbować Cyrulika; Patti Rożyną, Almawiwą on, Mario. Przed próbą zatoczył się powóz przed mieszkanie tenora, wysiadła mała Adelina wraz z szwagrem Strakoszem zastępującym jej matkę w artystycznych wycieczkach. Adelina kazała zameldować się hrabinie Kaudyi.

Grisi przyjęła Patti w swjej sali koncertowej bardzo chłodno, niemniej z całą przyzwoitością wielkiej damy.

Patti w sukience koloru cyrkonowego, w dziecinnym okrągłym kapelusiku, drżąca jak liść osiny — ta wczorajsza tryumfatorka, — prosiła Grisi o łaskawą protekcję.

— Przyszłam z prośbą do pani, jako do najznakomitszej artystki o względy i opiekę. O! gdybyś zechciała choć na chwilę zająć się biedną dziewczyną, nieskąpić jej wskazówek, usunąć wady — zrobiłabyś mnie szczęśliwą.

I dziecku na płacz się zebrało.

Donna Grisi zdawała się być wzruszoną; ozwała się w niej prawdziwa artystka i dała uścisk Adelinie.

— I czegoż moje drogie dziecko nauczyć cię może ta stara zapomniana Grisi, ta gwiazda bez blasku; czyż porwać się może na wschodzącą, której biegu ani zatrzymać ani przyspieszyć nikt niezdola.

— Zapomnianą ty pani? chciałabym takięj niepamięci, ona dałaby mi nieśmiertelność.

Szesnastoletnie dziecko, wypowiedziało to cicho z skromnością i z uszanowaniem; Grisi roztkliwiła się coraz bardziej i rzekła:

— Uważaj mnie odtąd za przyjaciółkę swoją starszą, przychodź do mnie i słuchaj.

A scena miała być tak rozczulającą, że stojący w kącie Strakosz, ronił grube łzy.

Wychodzącą Adelinie zdawało się, iż najchętniej być hrabiną, podczas gdy Grisi uznała za stosowne zapowiedzieć mężowi, iż towarzyszyć mu będzie — dla używania kommocyi zapewne — na próbę.

Próby te musiały mieć jednak wielki urok dla Grisi, ponieważ nieopuściła ani jednej, równie jak i przedstawienia, w którym Mario śpiewał z Adeliną.

Skryta w kulisie, wpatrzona w Adelinę, zasłuchana, chwyciła każde słowo, każdy giest scenicznych kochanków.

Kochankowie zaś dziwny mieli wyraz; ona bowiem spoglądała nań z dziecinną ciekawością, a on odplacał jej spojrzeniem ojcowskiem, po którym zwykł był zwracać się do żony z uśmiechem.

Jednakże i ta akcja nie zdołała zaspokoić Grisi, owszem ciągle przeczuwała coś złego. Gdy rozentuzymowana publiczność wywoływała Patti, Grisi podejrzewała męża, iż ten porównywał ją będzie z żoną!

Do rozpaczki zaś dochodziła, widząc iż w roli Normy niebudziła tego samego co dawniej zachwyty.

Dziwne zaiste bywają czasami spotkania.... szpiegów.

Oto raz spostrzegła Grisi, iż jakiś jegomość wpatrywał się z równym zajęciem w Patti jak ona w twarz swego męża; przyjrzała mu się bliżej, był to Strakosz szwagier Adeliny; to uspokoiło zazdrośnicę, znalazła bowiem nieocenioną pomoc.

Nazajutrz szpiegowie porozumieli się z sobą najdoskonalej i za nim Rozyna prześpiewała duet z Figarem przyjaźń została zawartą i rozczulający alians utwierdzony.

Od tej chwili Grisi stała się rzeczywistą przyjaciółką Adeliny, zapraszała ją do siebie, nieskąpiła najlepszych rad, całowała, śpiewała z nią duety, zaprzyjaźniła z swemi córkami, a kiedy zmęczona niemogła zająć swego postęunku w teatrze, litościwy Strakosz stawał na straży Adeliny.

(d. c. n.)

ORKIESTRA KONSERWATORYUM.

Cztery lata temu byliśmy świadkami imponującej sceny, Był to dzień św. Cecylii. W dzień ten konserwatorium nasze, w osobach profesorów i zaproszonych gości, obchodził uroczystość patronki muzyki skromną ucztą, wesolą, a często i improwizowanym koncertem uświetnioną.

Otóż po kolacji, gdy uczujący wstali od stołów, pan Kątski, dyrektor konserwatorium, poprosił o głos i w te słowa się odezwał:

— Rok temu, ktoś z obecnych wyraził serdeczne życzenie, by konserwatorium wychowało i wykształciło orkiestrę, której taki brak czuć się daje. Usłyszawszy to, rzekłem: dobrze!... od dziś za rok orkiestra będzie. Otóż, szanowni panowie, a szczególnie wy wszyscy, którzyście słowa moje wzięli za żart — daję wam dowód, że one żartem nie były.

Gdy p. Kątski skończył, odezwały się najniespodziewaniej dźwięki orkiestry, ulokowanej w drugiej części sali, i zabrzmiał dzielny polonez Kurpińskiego... Po polonezie przysłała uwertura z jego „Jadwigi“, a po niej... okrzyki zadowolenia i uniesienia.

Dyrektor dotrzymał obietnicy, którą rzucił bez namysłu. Wziął sobie za punkt honoru dotrzymanie jej, zupełnie tak samo, jak niegdyś, gdy jeszcze był młodzieniaszkiem, wziął sobie za cel życia utworzenie konserwatorium w Warszawie. Co do utworzenia konserwatorium — dopomógł mu w tym naród cały, chętną ofiarą, hojnym uposażeniem funduszków stypendyalnych i najgorętszą sympatią dla młodej instytucji. Co do orkiestry — również młodzieńczej — świeżo patrzyliśmy na dowody współ-

uczucia i zajęcia, jakie jej okazywała Warszawa na koncertach symfonicznych, pod dyktando Kątskiego przez nią dawanym.

Wracając do owej uroczystej chwili w dniu św. Cecylii, nie możemy pominąć pewnego, bardzo charakterystycznego szczegółu. Oto po wysłuchaniu poloneza i uwertury, obecni jednogłośnie zażądali... „czegoś więcej.“ Pan Kątski jednak rzekł:

— Szanowni panowie, żądaniu waszemu zadosyć stać się nie może. Polonez i uwertura, oto całkowity program tej orkiestry, której członkowie przed dwoma miesiącami dopiero poraz pierwszy przyłożyli usta do trąb, puzonów, waltorni i fagotów... Jutro... wrócą do szkoły, aby się uczuli w dalszym ciągu gam, których jeszcze... nie zgruntowali!

I tak było wistocie!

Patrzyliśmy na to początkowanie, trudne, mozolne, nieledwie rozpaczliwe. Szkoła instrumentów dętych, świeżo założona przy konserwatorium, musiała starać się zarówno o nauczycieli, jak o instrumenta i... uczniów. Tych ostatnich mianowicie trzeba było rekrutować przemocą, bo młodzież artystyczna nabiła sobie głowę przesądem, iż trąba lub puzon dla muzyka, to łokieć lub kwarta dla karmazyna. Trzeba było perswadować, namawiać, prosić, a i tak komplet uczniów rozpręgał się pod lada pretekstem. Najfatalniej szło z puzonistami... Pogardzali puzonami, cierpiąc dla tych niewinnych narzędzi przyrównywki koleżeńskie, czasem dowcipne, czasem znów... niesmaczne.

Aliści rzecz szła trybem oznaczonym zgóry, bo isć musiała. Kto zna energią Kątskiego, ten się temu dziwić nie powinien. Ma on żelazną wolę i wytrwałość i nie umie się zrażać... Pod energicznym nadzorem i kierunkiem nauczyciele, dokompletowani starannie i trafnie, wysiłkiem pracy i poświęceniem (używamy rozmyslnie tego wyrazu, z uwagi na szczupłe wynagrodzenie uczących) osiągnęli rezultaty świetne. Postępy były też ogromne. Panowie Sobolewski, Kuhne, Weck, Szulc nie zasypiali gruszek w popiele, więc też orkiestra kompletowała się powoli, ale skutecznie, i oto, po kilku przypadkowych występach, zdobyła się ona wkrótce na koncerty w Dolinie Szwajcarskiej, które Warszawa przyjęła z entuzjazmem.

Przyglądaliście się zapewne tej młodej orkiestrze i widzieliście wśród niej dzieci prawie, idące ku wspólnemu celowi, *pięknu*, ręka w rękę ze starszą młodzieżą. Aui wam przecież przez myśl przejść mogło, ile to pracy trzeba kłaść w tę całość, aby ją poprowadzić krok za krokiem, przez wszystkie trudności wykonania takiej np. symfonii C minor Beethovena! Tak — boć to nie są artyści skończeni, jeno uczniowie; to nie orkiestrowi rutyniści, lecz młodzież poczynająca, pełna zapału i ognia, który zbyt często hamować należy i powściągać, aby kierunku jego nie zatracić. A przecież — idzie to, idzie dobrze, dzielnie, zapału drugim udziela i ręce do oklasków podnosi; czujecie, jak tu młodzież nabiera odwagi, poczyną wierzyć w swoje siły, i... co najważniejsza, poczyną kochać cel wspólny zbiorowego wykonania.

Czujecie, że z tej gromadki urośnie orkiestra wyborna, doświadczona z czasem — i ta właśnie, o której byt wołały głosy dzienników, a domagała się go opinia publiczna.

Trzy koncerty symfoniczno-chóralne, które w odstępkach dwutygodniowych urządził p. Kątski w sali resursy Obywatelskiej dały dowód, że Warszawa chowa w sercach swoich serdeczną życzliwość dla młodej orkiestry, i wogóle dla konserwatorium. Wprawdzie pierwszy w połowie tylko zapełnił słuchaczami salę — ale wiele się na to złożyło okoliczności, których tu dotykać nie będziemy. Drugiemu usiłowaniu nawet jawnie przeszkadzać... nie udało się to jednak i intrzyka osiągnęła fiasko dla siebie samej. Trzeci koncert był szczerą owacją dla młodej orkiestry: głośne podziękowania dla jej dyrektora stały się także dowodem, że owe symfoniczne popisy mogą liczyć na pewną i jasną przyszłość.

O to też w obecnej chwili chodziło.

Przed niedawnymi czasami (parę miesięcy temu), jedno z pism usiłowało zdyskredytować znaczenie orkiestry kon-

serwatorium, z okazji jej współdziałania w koncertach p. Różalskiego. Wyraziło ono wątpliwość, czy orkiestra ta potrafi kiedykolwiek działać poważnie. Próba przekonała, że powątpiewania owe nie miały zasady żadnej. Przekonała także, że i publiczność nasza potrafi słuchać muzyki dobrej, cenić ją, cenić wykonanie..... Tém lepiej; koncerty symfoniczne przeto wejdą u nas na trwałą drogę powodzenia, trzeba tylko, aby znalazły odpowiednie miejsce.

Sala bowiem Resursy Obywatelskiej takim miejscem nie jest. Zbudowana fatalnie pod względem akustyki, ma jeszcze i tę wadę, że jest zbyt szczupła. Mieści tak mało osób, że wpływa to niekorzystnie i na ceny biletów, a w niczym nie umniejsza kosztów. Koncerty symfoniczne zaś co do cen winny być, o ile można, najprzystępniejsze, chociaż są kosztowne. Aby tak było, publiczność powinna być liczna, słuchaczy jaknajwięcej, miejsca jaknajtańsze.

Czy w przyszłości znajdzie się na to sposób?.. zapewne. Płacze się nam po myśli Foksal (na Nowym świecie), w którym możnaby urządzić salę koncertową wielką; miejsce bardzo odpowiednie i do takiego użytku przydatne.

Mówiąc o koncertach symfoniczno-wokalnych pana Kątskiego, niepodobna pominąć milczeniem współdziałania w nich chórów, które wykonaniem kilku numerów, z towarzyszeniem orkiestry i bez niego, dowiodły wybornego kierunku, a nawet pewnej rutyny.

Zasluga to zacnego profesora Studzińskiego, którego w tej pracy nazwiemy specjalistą-amatorem, z takim zamiłowaniem jej się oddaje. Skromny to pracownik na niwie sztuki, a dzielny w owocach, jakie na niej sieje. Wogóle też nie należy zapominać, że ogromna część zasługi z trudów około orkiestry przypada nauczycielom — ale duszą wszystkiego jest sam dyrektor Kątski, który rozproszone cząstki w całość spaja, jedną myślą to ożywia, wspólny nadaje kierunek i rozbite na instrumentach tony dostraja w idee mistrzowskie wielkich twórców.

Sł. M. Rz.

S P O R T.

Wścigi. Pan August Lupin członek honorowy Dżokiej-klubu w Newmarket, w liście pisanym do angielskiego admirała Rous członka Dżokiej-klubu londyńskiego, wyszczególnił powody dla których konie angielskie nie powinny biegać na francuskich torach w tych samych warunkach w jakich konie francuskie biegają w Anglii.

Nagroda Derby w Chantilly niedostępna jest dla angielskich koni, pomimo iż do Derby w Epsom dopuszczone są konie francuskie. Ale wolna konkurencja koni obcych w Anglii dla tego jest dozwolona, że prócz stawek konie obce nic więcej wygrać niemogą, bo ani rząd ani Dżokiej-klub angielski nie dokładają; wtedy kiedy do Derby w Chantilly dołączają Francuzi nagrodę 50,000 franków. I w ogóle we Francji niema prawie wścigu, któryby niezależnie od stawek składanych przez właścicieli koni, nie miał nagrody czy to przez rząd czyli przez Dżokiej-klub stale przeznaczoną.

W roku bieżącym naprzykład Dżokiej-klub paryzki przeznaczył milion pięćdziesiąt tysięcy franków na nagrody, do których rząd, zarządy miast, koleje żelazne i prywatni przykładają się oddzielnymi dodatkowymi summami.

Dowodzi to dostatecznie iż pomiędzy dwoma temi narodami w przedmiocie wścigów niemoże być żadnej wzajemności. Francuzi chętnie widzieć będą konie angielskie współbiegające się o wielką nagrodę m. Paryża (grand prix de Paris), jak również i o inne do których bywają dopuszczane, a w których jest 350,000 franków do wygrania.

Admirał Rous w odpowiedzi na list sympatycznego swego interlokutora pisze:

„Dżokiej-klub francuski daje milion pięćdziesiąt tysięcy franków rocznie na nagrody, a w tych niema ani jednego szylinga z którego konie angielskie skorzystać mogły. Wielka nagroda m. Paryża powstaje z podpisów i źródeł rozmaitych i ta jest jedyną zachętą dla właścicieli doskonałych angielskich koni do sprowadzania ich przez cieśninę na ziemię francuską.

W roku zeszłym Anglia przeznaczyła 148,753 funtów szterlingów (3,718,825 fr.) li tylko jako nagrody za wścigi ptasie dla wszystkich koni kontynentalnych dostępne.

Z znakomitą tą summy wydzieliła Izba niższa parlamentu nagrodę Queens-plates dla polepszenia rasy koni krajowych. W roku bieżącym Newmarket otrzyma na wścigi summę 500,000 franków, a Ascot zaofiaruje 250,000 na 4 dni wścigów.

Corocznie powiększają się nagrody i niema prawie wścigów w których nagrody oddzielne niezależnie od stawek dodawanemiby niebyły.

Francuzi zaś dają sami pierwszeństwo wielkiemu Derby, lub Oaks albo też Saint-Leger w których nagrody nieegzystują.

Summy dawane na nagrody stanowią rzecz podrzędną w kwestyi o którą tu chodzi.

Najważniejszem jest aby dobre stosunki nasze z sportsmanami francuzkami nie były wystawione na szwank.

Podług p. Rous należałoby przedyskutować następną okoliczność Epsom jest torem zupełnie prywatnym, a właściciele *Stand'u* (trybun) otrzymując 35% dochodu z takowych do podziału, przekładają dochód ten, aniżeli gdyby wielkie Derby z korzyścią dla nich wypadło.

Nagrody Prince of Wales's Stakes w Ascot, nieróżniące się niczem od wielkiego Derby jak tylko większą cyfrą bo o 25,000 fr. więcej różnicy, miały w r. zeszłym tylko 84 podpisy, wtedy gdy Derby w Epsom zyskało 224 takowych.

Oto jest odpowiedź na owe 50,000 franków przeznaczone na Derby w Chantilly, których Derby w Epsom nieposiada.

Zachodzi więc pytanie, o co chodzi Francuzom którzy dziś na równi stoją z Anglją w współzawodnictwie wścigowym.

Francuzi wykupili z Anglii najlepszych reproduktorów i klacze-matki, sami zaś niedają możliwości korzystać ze swych koni krajowych; francuskie paddoksy nie są tak zniszczone jak angielskie co właśnie ma miejsce w Anglii a to z powodu tej wielkiej liczby koni które co rok ona produkuje; klimat Francji bardziej sprzyja hodowli, a więc i dwulatki francuskie są o wiele dojrzalsze od angielskich.

„Wście — woła p. Rous — odnieśli w samym rozwoju znakomite korzyści, jakąż więc świetną przyszłość wasza!

Na wzajemności tylko polegać będzie wartość waszej produkcji; wzajemność ta wytworzy obszerne pole do handlu angielskim spekulantom. Macie przed sobą widoki miłych tylko korzyści, straty są dla was niedostępne.

Ustalonym jest u nas przekonanie że wy tylko sami korzystacie z naszej polityki wolnego handlu, nam zaś żadnej w zamian korzyści dać nie chcecie.

Okoliczność ta powinna wpłynąć na pilną rozwałkę każdego dobrego Francuza. Pokażcie się wielkimi, a historia pierwszy raz zaznaczy abnegację Francuzów od potęgi swojej.

Zdaniem naszym „doskonałość odnosi zawsze zwycięstwo“ co się zaś nas tyczy, to możecie odpowiedzieć nam na temat równości słowy Wilhelma — zwycięzcy.

Hodowla koni. *Stado rządowe koni w Janowie.* Z mocy Najwyższego postanowienia z d. 24 Września (6 Października) 1816 r. założone zostało w dobrach narodowych, stado królewskie koni i stacy stadne.

W tym celu wybrane zostały dobra Janów w województwie podlaskim, powiecie Białskim nad rzeką Bugiem położone, w żywność łąki i pastwiska obfitujące. Dobra te oddano na użytek zakładu stadnego, sposobem dzierżawy za cenę roczną rsr. 4,500, a po uskutecznionej w r. 1851 kolonizacji włościan, wszelkie użytki i dochody z ekonomii Janów, które dotąd działał stadny pobierał, zajęte zostały w administrację skarbu, z pozostawieniem na użytek stada w gruncie ornym morgów 504 pr. 119.

w łąkach i pastwiskach	2038 pr. 203.
i w nieużytkach	274 pr. 202.

w ogóle morgów 2817 pr. 224.

Grunta położone nad samym Bugiem rozciągają się wzdłuż niego pasem mającym dwie mile długości, a granicę ich stanowią od północy rzeka Bug, od wschodu tenże Bug i łąki wsi Woroblina; od południa grunta kolonii Ostrów, wsi Wierchlisie, grunta i pastwiska miasta Janowa i kolonii Pawłów, od zachodu grunta i łąki kolonii Buczyce i Pawłów.

Oprócz tego przy zamku Janowskim, gdzie się mieści zarząd stadny, a dawniej była rezydencja biskupów Łuckich, położone są pola i łąka nazwane Zwierzyniec.

Daliej znów o dwie mile na zachód od Janowa, w bliskości wsi Gnojno. należąc do dóbr Konstantynowa, znajduje się łąka należąca do zakładu stadnego.

Łąki i pastwiska, na których wiele jezior i błot się znajduje, są w części zarośnięte krzakami, a w czasie większych wylewów Buga, część ich bywa zalana wodą.

Dostarczają one dla stada dość żywnych pastwisk i dobrego siana, którego ilość jest jednak niewystarczającą i dokupywać go potrzeba od 5 do 10 tysięcy pudów rocznie.

Budynki na pomieszczenie stada dostateczne, położone są na Nowej

Wygodzie o dwie wiorsty od Janowa ku Bugowi, i na Starój tuż za nią leżącej.

Na starój Wygodzie znajduje się sześć obszernych, stajen drewnianych, z których trzy podzielone na boksy, czyli klatki zamykane, dla matek stadnych; trzy zaś opatrzone tylko żłobami i drabinami, bez żadnych przyrządów do przywiązywania koni, przeznaczone dla młodych klaczek i dla źrebiąt, które luzem są do nich wpuszczane. Przed wszystkimi temi stajniami znajdują się obszerne okólniki do wypuszczania koni dla ruchu i pojenia.

Prócz tego znajduje się na starój Wygodzie dom służbowy, w którym mieści się pomieszczenie koniuszego stada i masztarnia dla służby stajennej; dalej skład drzewa budulcowego, warsztat ciesielski i stajnia służbowa.

Z drugiej strony jest ujeżdżalnia drewniana i opodal stara szopa chruszcziana, używana na pomieszczenie zboża w snopach. Po za temi zabudowaniami od strony Buga, jest usypany wał ochronny od wylewu wody.

Na nowój Wygodzie są dwie stajnie murowane, dla ogierów celnych i prowincjonalnych, mieszczące w sobie 70 koni; w obu z nich masztarnie, a przy jednej pomieszczenie dla dwóch podkoniuszych, tudzież stanowia.

W dość znacznej odległości od tych stajen ku wschodowi znajdują się trzy duże stajnie drewniane, z których jedna z bokami dla klaczy jałowych, jedna z przegrodami dla ogierów prowincjonalnych i jedna dla młodych ogierków; wszystkie te stajnie mają osobne okólniki. Naprzeciwko tych stajen po za drogą stoi obszerny dom służbowy, w którym są pomieszczenia weterynarza dwóch podkoniuszych i masztarnia, a w bliskości stajnia służbowa.

Za stajniami stadnemi, mieści się w jednym budynku drewnianym, wołownia, stajnia folwarczna i dwa spichrze, dalej obszerna stodoła z młóckarnią i szopa. Za stodołą lazaret koński w dwóch osobnych niewielkich budynkach, a za tym zabudowania folwarku Sosnowiec.

Na zachód od stajen murowanych znajduje się plac wyścigowy, mający przeszło 40 morgów powierzchni, a wzdłuż jednego z jego boków są trzy padoksy, czyli stajenki osobne, mogące mieścić w sobie każda po cztery klacze ze źrebiętami; każda też ma po cztery okólniki, po morgu przestrzeni mające, na pastwisko dla klaczy. Pomiędzy zaś każdymi dwiema stajenkami, na przecięciu ich ogrodzeń okólników znajduje się studnia dostarczająca wodę dla czterech klaczy.

Zamek Janowski za miastem na małym wzgórzu położony, otoczony głęboką fosą z bastyonami, składa się z dwóch symetrycznych pawilonów murowanych, piętrowych, naprzeciwko siebie stojących, z których jeden mieścił w sobie pokoje zwane cesarskie, przeznaczone na przyjęcie dostojnych osób zwiedzających stado, biuro, kasę wydziału stadnego i magazyny rekwiwytów stajennych. W drugim pawilonie, mieszkanie inspektora stada, berejtera i sekretarza. Wszystkie drogi pomiędzy temi zabudowaniami, jako też okólniki i plac wyścigowy dokoła wysadzone były cienistymi alejami drzew.

Oprócz tego na pastwiskach znajdowało się sześć szop obszernych, na pomieszczenie oddziałów stada, będących na letniem pastwisku.

Wszelkie dostawy jako to: furaz, rekwiwytów stajennych, ubrania dla służby stajennej, materiału opałowego, żelaza, oświetlenia i t. p. dopełniali przedsiębiorcy przez licytacye. Na drzewo zaś budulcowe, w miarę potrzeby wydawane były assignacye z lasów rządowych.

Fundusz na utrzymanie zakładu stadnego oznaczony był etatem na sumę rs. 50,230 kop. 50 rocznie, z których rsr. 17,140 kop. 50 z dochodów miejscowych jako to: z opłat za użycie ogierów do klaczy prywatnych, ze sprzedaży koni brakowych i z produktów gospodarstwa rolnego, a 33090 rs. ze skarbu królestwa. Wydatki zaś stanowiły: administracja stada, kupno furaz, utrzymanie wewnętrznego zakładu i gospodarstwa rolnego, utrzymanie stacyi stadnych, transporta koni i t. p.

(dalszy ciąg nastąpi).

Polowania. W tych dniach powrócił z Anglii znany sportsman tutejszy hr. Aleksander Berg, który podczas pobytu tam swego przyjmował udział w wielu polowaniach par force z fox-houndami (ogary cicho goniące, w Anglii do polowania na lisy używane).

Bawiąc u przyjaciół swoich w Oxfordshire hr. Berg odbył oryginalne i prawie nigdzie niepraktykowane polowanie na daniela w parku z hartami.

Mysliwi konno dojeżdżają stado danieli, które niebardzo przed końmi uchodzą; dwaj z tych panów mający najszybsze konie, wybierają w stadzie najsilniejszego daniela a dopędziwszy biorą pomiędzy siebie, starając się oddzielić go od stada; gdy to już uskutecznił, puszczają dwa roste harty

zwykle szkockiej rasy, przyuczone do tego rodzaju polowania. Harty gonią za danielem, który przed psami z całej siły ucieka i biorą go na przestrzeni mniej więcej wiorsty, chwytając za uszy i w taki sposób osadzają na miejscu.

Ponieważ psy zwykle gonią za zwierzem najszybciej uciekającym, więc nawet, gdy daniel taki wpadnie znów do stada swych współbraci, jako szybko uciekającego psy nieopuszczają, innych danieli nienapastują, lecz tylko gonią za swą ofiarą dopóki jej niesforsują.

Podczas jednego takiego polowania wzięto w ten sposób dwanaście danieli w ciągu dnia, puszczając za każdym z nich zawsze inną smycz hartów i to tylko z dwóch dowodnych psów złożoną.

Z licznych polowań przez hrabiego na niedźwiedzie, łosie i dziki odbytych, na szczególną wzmiankę zasługuje polowanie, które miało miejsce lat temu kilka w puszczy Białowiezkiej na żubra przeznaczonego Najwyższym rozkazem na zastrzelenie i następnie na podarunek dla jednego z gabinetów zoologicznych w Europie.

Żubr ten padł na miejscu od celnego strzału hr. Berga.

Z powodu ciągłych deszczów w Anglii i z tej przyczyny nadzwyczajnej grzązkości gruntu, ulubione polowania z foxhoundami, niezmiernie utrudnione w tym sezonie były; wyobrazić sobie trudno teren wódz przesiąkły, po którym paruset jeźdźców jednym szlakiem tnie z kopyta; nieszczęśliwi od szarego końca sportsmeni już nie po błocie przesuwali się, ale literalnie pływali w błocie.

Nie obyło się też i bez wypadków; baron Rotszyl (londyński) przyjmujący także udział w tych polowaniach, pomimo znakomitego pegaza swego, na którym sadił przeszkody tak często w Anglii napotykanę, dwa razy w ciągu dnia acz nieszkodliwie przewrócił się ze swym koniem.

Rybołówstwo. Nikt nie wyrówna przedsiębiorczością Anglikom na polu wychowu i wytworzenia albo raczej przekształcenia niektórych rasy zwierząt domowych i tym sposobem wyciągnięcia z nich największych korzyści.

Wyższość Anglików na tym punkcie nie tylko objawia się w znakomitem ulepszeniu rasy, w prawdziwej twórczości do której długoletnimi kombinacyami doszli ale i wszystkiem co tylko dotyczy najdrobniejszych szczegółów wiejskiego gospodarstwa.

We Francyi mianowicie w Lyonie widywano na targach ryby należące do gatunku karpi, różniące się od pospolitego tych ryb typu, krótszym kadłubem, głową większą i bardziej szeroką, paszczą więcej rozdętą i wydatną, teższym grzbietem i rozplaszczonym brzuchem; a przytém odznaczając się wykwintnym i delikatnym smakiem o wiele przewyższającym karpia pospolitego.

Gatunek ryb tych mylnie nazwano (carpeau) co odpowiada polskiemu *karpiu*.

Ryby te łowiono w Ronie, Saonnie, w stawach Bresse i Dombes; z powodu bardzo ograniczonej ich liczby, były bardzo drogie.

Przed kilku laty niejaki pan Latourette, przekonał się że te tak zwane karpięta, były niczem innym jak tylko najzwyczajniejszymi karpiami samcami, które wypadkowym sposobem straciły organa rodne; i że stan dziewiczy zarówno u ryb jak i u ptastwa oraz zwierząt ssących, niezmiernie sprzyja szybkiemu utuczeniu.

Najprostszym wynikiem odkrycia tego powinno być rozpowszechnienie karpięta; tymczasem francuzcy obywatele odłożyli sprawę tę *ad calendas grecas*; z odkrycia zaś francuzkiego skorzystali Anglicy, którzy się też energicznie wzięli do dzieła.

Kastracyę tedy karpi anglicy prowadzą z całą systematycznością; zwykle usunięcie organów rodnych odbywa się w chwili tarcia się ryb, a to dla tego że organa te są wtedy wydatniejsze i tym sposobem unika się obrażenia wnętrzości lub arteryi jakiej.

High life. Hr. Tarnowski Stanisław, professor wszechnicy Jagiellońskiej wraz z małżonką opuścił Warszawę udając się z powrotem do Krakowa.

— Przybyli do Warszawy: Hr. Stefan Zamojski znany sportsman galicyjski, właściciel pysznych rumaków wyścigowych z Wysocka w Galicyi.

Jan Ursyn Niemcewicz szambelan Najjaśniejszego Pana, prezes wyścigów wileńskich, ze Skoków w gub. Grodzieńskiej.

Gustaw Zieliński, właściciel wielu dóbr w gub. Płockiej, ze Skempego.

Hr. Piotr Szembek z zagranicy.

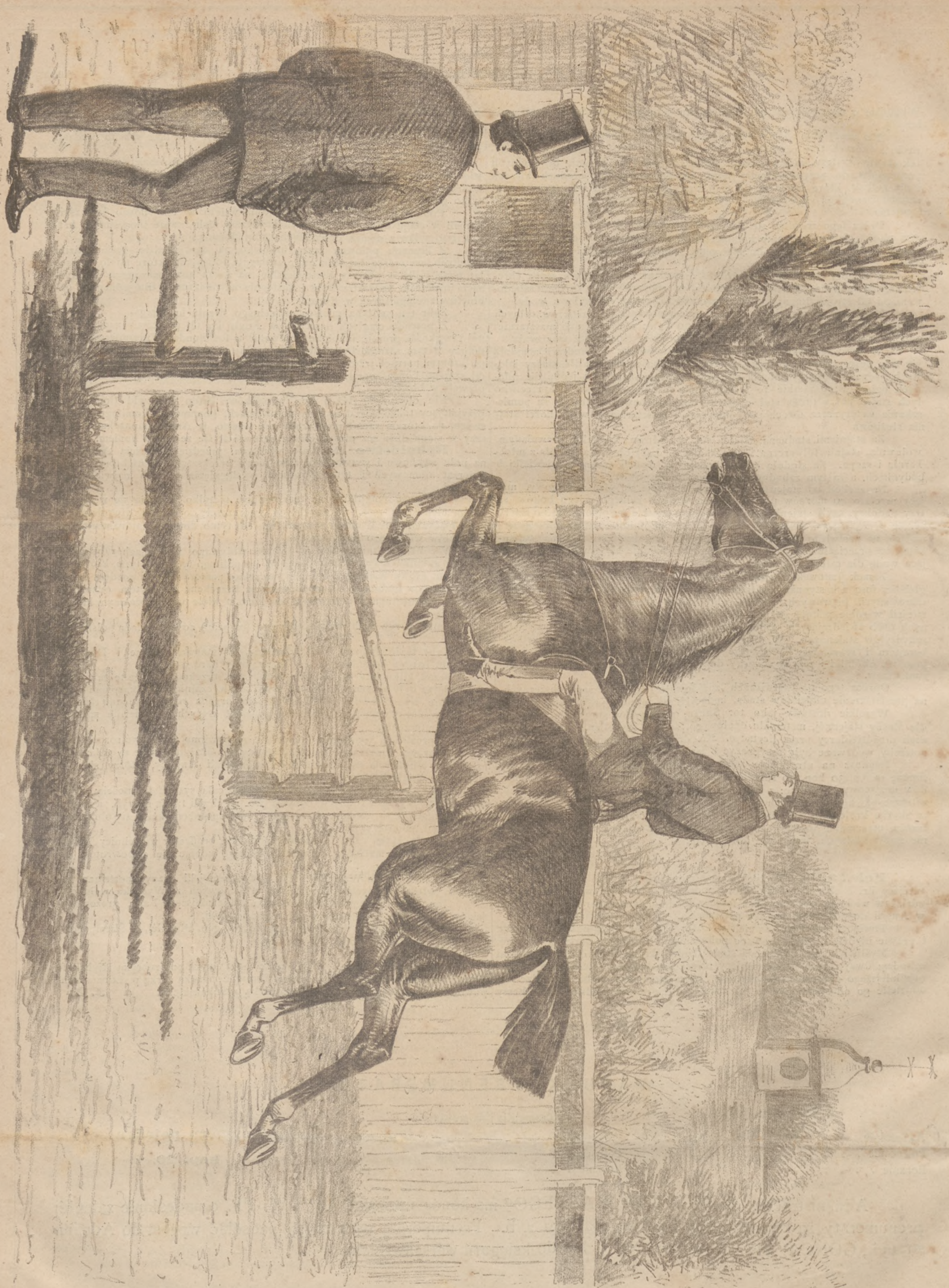
Sprostowanie. W Numerze II-ym Gońca pod rubryką High Life przez pomyłkę wydrukowano „panną Teresę Łobańską córką p. Łobańskich” powinno być „panną Teresę Sobańską córką p. Sobańskich”.

J. N.

WARUNKI PRENUMERATY:

w Warszawie:		w Cesarstwie i na prowincyi:		Cena numeru pojedynczego kop. 20.
Kwartalnie	Rs. 2 kop. 50	Kwartalnie	Rs. 3	
Półrocznie	„ 5 „ —	Półrocznie	„ 6	
Rocznie	„ 10 „ —	Rocznie	„ 12	

Administracja „GOŃCA TEATRALNEGO“ ma honor upraszać JW. i W. PP. o nadesłanie zaległej prenumeraty za kwartał 1-szy i na kwartał 2-gi r. b. Prenumeratę uprasza się nadsłać wprost do Administracyi „GOŃCA“ ulica Nowolipki Nr. 3, lub do księgarń warszawskich.



Kon dzienne biorący przeszkody.